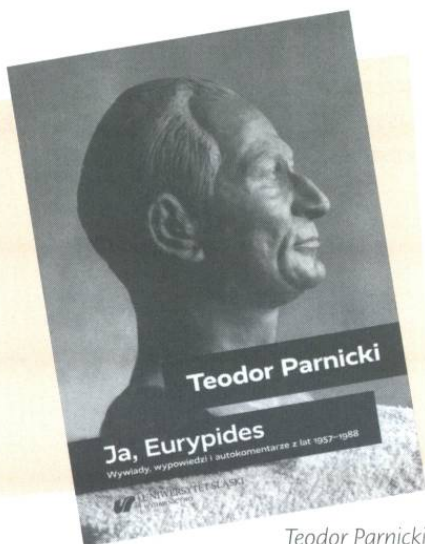


Gdzie jesteś, mój Sokratesie?

Dariusz Nowacki

Publikacja wyboru rozmów i wypowiedzi Teodora Parnickiego (1908–1988) podsuwa problem twórczości zapomnianej. Od dawna mam w tej sprawie wyrobiony pogląd: jeśli przywołujemy autora, o którym świat myśli, że został zapomniany, czynimy zeń osobistość niezapomnianą. Prawdziwie zapomnianym jest tylko ten, którego nie sposób z zapomnienia wydobyć, a to nie jest przypadek Parnickiego.



Teodor Parnicki

Ja, Eurypides

Wywiady, wypowiedzi i autokomentarze
z lat 1957–1988

wstęp Tomasz Markiewka

oprac. Piotr Gorliński-Kucik

i Tomasz Markiewka

Katowice: Wydaw. Uniwersytetu Śląskiego, 2021

395 s.; 21 cm

W świetle przedstawionej tu reguły autor *Srebrnych ortów* jest po prostu jednym z wielu nietuzinkowych pisarzy okresu PRL-owskiego, którzy czekają na kolejne, zawsze przecież możliwe, otwarcie na nowych czytelników. Aktualnych – poza skromnym kręgiem literaturoznawców – już nie ma. Powstaje pytanie, czy miał ich kiedykolwiek. Zanim spróbuję zmierzyć się z tą kwestią, kilka słów o tym, co zawiera tom zatytułowany *Ja, Eurypides*.

Stosownej informacji dostarcza podtytuł: *Wywiady, wypowiedzi i autokomentarze z lat 1957–1988*. Przez autorów opracowania – Tomasza Markiewkę i Piotra Gorlińskiego-Kucika – zostały one dobrane tak, aby można było uchwycić trzy bodaj najciekawsze wątki. Pierwszy z nich to niezwykle kontekst autobiograficzny, który sam stał się opowieścią – jeśli wolno tak powiedzieć – nad wyraz „przygodową” („Życie moje – notuje w 1981 roku Parnicki – od wczesnego dzieciństwa roi się od zakrętów, zygzaków, przemian, wstrząsów”). Nie ma tu miejsca, by tę barwną biografię rekonstruować choćby w zarysie – znaleźć ją można w dowolnym opracowaniu. Drugi wątek, jaki godzi się tu wyznaczyć, składa się z uwag Parnickiego o literaturze, zwłaszcza na temat perspektyw odnowienia powieści historycznej w drugiej połowie XX wieku. I wreszcie trzecia sprawa to kłopoty pisarza z publicznością – kwestia dziś być może najmocniej do nas przemawiająca, wszak funkcjonujemy w świecie, którym rządzą takie kategorie, jak skuteczność, popularność, nakłady etc.

Do materiałów zgromadzonych w komentowanej tu książce można oczywiście dotrzeć, wertując pozostałe gazety. Ale w tomie *Ja, Eurypides* znajdziemy to, co zwykliśmy cenić najbardziej: precyzyjne objaśnienia i kompetentne komentarze, czyli rozbudowany i bezcenny aparat przypisowy. Dość zauważyć, że tekst otwierający zbiór (wypowiedź, której Parnicki udzielił „Słowo Powszechnemu” w 1957 roku) jest mniej więcej o połowę krótszy, licząc w znakach, niżli tekst zawarty w 26 przypisach. Nie muszę też chyba dodawać, że niektóre przypisy wprowadzają korekty bądź uzupełnienia do dawnych wypowiedzi naszego pisarza (tu np. prawdziwe, nie zaś „oficjalne” powody, dla których Parnicki porzucił emigrację, by w 1967 roku zamieszkać w Warszawie).

Wróćmy do Eurypidesa. Jak przypomina we *Wstępie* Markiewka i co później zostanie potwierdzone w bodaj dwu rozmowach, Parnicki chętnie odwoływał się do spostrzeżenia utrwalonego w *Narodzinach tragedii* Nietzschego. Stosowny wyimek z wprowadzenia do zbioru brzmi: „W ujęciu niemieckiego filozofa dwaj tragicy ateńscy – Ajschylos i Sofokles – pisali swoje dzieła dla całego ludu ateńskiego. W przeciwieństwie do nich krytyczny, obdarzony dużą samoświadomością Eurypides pisał w istocie dla dwóch odbiorców: siebie samego oraz idealnego czytelnika swych dzieł – Sokratesa”. Do pewnego momentu autor *Tylko Beatrycze* łudził się, że „jego Sokrates” – jak mu podpowiedział pewien dziennikarz – „ma wiele tysięcy głów”. Jakim cudem? Wystarczyło – w 1967 roku – zliczyć książki, wydania i nakłady. Wynik: „Piętnaście książek. Dwadzieścia osiem wydań. Łączny nakład 337 tysięcy egzemplarzy”. Później pisarz spuszcza z tonu. W roku 1972 mówi: „Mam nadzieję, że ten Sokrates ma nie jedną głowę, ale jest ich sto albo trzysta, albo trzy tysiące”. Ta ostatnia liczba ma zakotwiczenie w przykrej (dla pisarza) rzeczywistości: począwszy od wczesnych lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku główny wydawca dzieł Parnickiego (Instytut Wydawniczy PAX) redukuje nakłady kolejnych powieści do tego właśnie poziomu, co w warunkach PRL-owskich jest widomym znakiem dystansu, a może nawet odrzucenia. Dodajmy, że podówczas nie tylko rozeszły się drogi Parnickiego i jego czytelników. Krytycy także stracili zapal, co pisarz gorzko skomentował w ten sposób: „Istnieją dwa poziomy snobizmu: poziom niższy – to Parnickiego czytać, poziom wyższy – to powiedzieć, że Parnickiego się nie czyta”.

Do wybuchu drugiej wojny światowej Teodor Parnicki, z oczywistych przyczyn, zdążył opublikować niewiele. Pomijając *Srebrne orły*, zrazu wydane w Jerozolimie w latach 1944-1945 oraz w kraju w roku 1949, przełomowym momentem stała się czytelnicza klęska Końca „Zgody narodów”, który – zacytujmy – „wyszedł w Paryżu w nakładzie dwóch tysięcy egzemplarzy. Po roku wydawca mi napisał, że ma olbrzymie trudności ze sprzedażą tej książki”. Tym wydawcą, czego w wywiadzie z roku 1988 Parnicki nie mówi, był Jerzy Giedroyc. Lojalnie ostrzegł swojego autora, podówczas (mamy rok 1956) przebywającego w Meksyku, że kolejnej i podobnej powieści (w domyśle: tak trudnej w odbiorze i niezaangażowanej politycznie) mu nie wyda. I tu zaczynają się negocjacje między środowiskiem PAX-u i pisarzem. Stawką jest możliwość publikowania utworów w kraju; należy też ustalić warunki powrotu z emigracji oraz – szerzej – reguły wejścia w PRL-owską oficjalność. Nie będę rozwijał tej niezwykle ciekawej kwestii – faktem jest, że w ciągu półwiecza, licząc od debiutu książkowego do śmierci pisarza, „dobre lata” Parnickiego obejmują zaledwie dekadę (lata sześćdziesiąte), kiedy znajduje uznanie u czytelników, cieszy się wzięciem krytyków i badaczy, chętnie wtedy rozprawiających o antypowieści.

Nie chcę lekceważyć innych wymiarów obecnej prezentacji, a więc spraw biograficznych czy teoretycznoliterackich. Jednakowoż problem niechadzania „na koncesje z czytelnikiem” (sformułowanie z rozmowy przeprowadzonej przez Krzysztofa Mętraka) objawił mi się jako najbardziej atrakcyjny. Pewnie dlatego, że aż tak bardzo odbiega od dzisiejszych standardów. Sama idea pisania dla siebie i ewentualnie jakiegoś własnego Sokratesa wydaje się dziś porywająca. Macie kłopoty z oswojeniem mojej prozy? To wasz problem – zdaje się mówić Parnicki. Zauważmy – jego autokomentarze to potwierdzają – że pisarz doskonale zdaje sobie sprawę, jakiej powieści historycznej pragnie publiczność czytająca. Nie chodzi tylko o niemożność przekroczenia wzorca Sienkiewiczowskiego. Już w latach sześćdziesiątych XX wieku zarysowuje się inny, bardziej przyjazny odbiorcy, paradygmat. Dla przypomnienia: wtedy ukazuje się polski przekład wielkiego przeboju Miki Waltariego *Egipcjanin Sinuhe*, ponownie ożywa zainteresowanie pisarstwem, znanym już przed wojną, Roberta Gravesa. Tymczasem Teodor Parnicki robi swoje, co imponowało wtedy, a dziś musi imponować sto razy bardziej. ◉